

Od tego, który leży pod płótem, dzieli mnie tylko jeden kieliszek

- Próbowałem przedawkować tabletki. Na moje szczęście byłem pijany, głupi i nieudolnie się do tego zabierałem. Dziś myślę, że to mogła być manifestacja. Taki cichy krzyk. Gdybym naprawdę pragnął śmierci, poszedłbym do lasu, wziąłbym linę i po kłopotcie.

Z Tomaszem Prażą - trzeźwym alkoholikiem i byłym bezdomnym - rozmawia Flu

49-letni Tomasz przez prawie 20 lat mieszkał na ulicy. W młodości wyjechał z domu, żeby zmienić środowisko i przestać pić. Kilkakrotnie próbował leczyć swój alkoholizm, za każdym razem bezskutecznie. Udało się dopiero 8 lat temu. Dzisiaj nie pije i uczy się życia od nowa. Zaakceptował to, kim jest, a chorobę alkoholową cały czas ma w głowie.

- Kiedy pierwszy raz był pan na odwyku?

- W wieku dziewiętnastu lat piłem już tak ostro, że trafiłem na miesięczną kurację do Lubiąża. Czułem, że nie jest ze mną dobrze, ale nie spodziewałem się, że będę potrzebował 20 lat, by wyjść na prostą. Chciałem się ratować, ale chyba byłem na to za młody. Wróciłem, często zmieniałem pracę, zbierałem złom. Pieniądzy miałem sporo, więc dobrze się bawiłem. Rówieśnicy pili normalnie, u mnie tej normalności brakowało. Spotykałem się z kumplami, z dziewczynami, jeździłem na imprezy. Życie kręciło się wokół chłania. Zawsze padałem pierwszy. Piłem, podnosiłem się i leciałem dalej. Alkohol dodawał mi odwagi. Wstawiony nie bałem się zagadać do dziewczyny, mogłem mówić to, co myślę.

- Rodzina próbowała pomóc?

- Mama lubiła sobie wypić, ojczym zresztą też. Oczywiście chcieli dla mnie dobrze, więc nie akceptowali mojego zachowania. Mówili, żebym skończył szkołę, a ja rzuciłem ją w drugiej klasie zawodówki. Pewnie mieli świadomość, że są alkoholikami, ale nigdy nie próbowali nic z tym zrobić. Ciągłe się awanturowali. Nie broniłem ani jednej, ani drugiej strony. To nie miało sensu. Oni się godzili, a ja stawałem się wrogiem numer jeden. W domu nie mogłem wyrazić swojego zdania. Nawet jeśli próbowałem, to nikt moich słów nie respektował.

- Pamięta pan ten dzień, w którym wyszedł pan domu?

- Miałem wtedy 23 lata i kolejną porażkę za sobą. Wyleczyłem kaca fizycznego, ale nie poradziłem sobie z moralnym. Znow zacząłem pić, pokłóciłem się z rodzicami i postanowiłem wyruszyć w Polskę. Zawsze kochałem góry, więc pojechałem do Zakopanego. Jak stałem, tak wyszedłem. Wziąłem tylko dokumenty, miałem też trochę kasy.

- Pociąg zatrzymał się na stacji Zakopane. I co było dalej?

- Na tej stacji spałem. Szybko poznałem innych bezdomnych, w tym Antka, który zebrał razem ze mną. Kradł też różne rzeczy w sklepach, ale ja się do tego nie nadawałem. Wegetowaliśmy na dworcu i czas jakoś płynął. Nie było to dla mnie szczególne wyzwanie, bo wcześniej w Oławie też sypiałem w różnych miejscach poza domem.

- Ale chyba nie taki był plan na Zakopane? To miało być nowe, lepsze życie...

- Miałem głowę pełną marzeń. Liczyłem, że znajdę pracę, ustatkuję się i zmienię towarzystwo. Rzeczywistość okazała się inna. Piłem ostro, zebrałem, czasem czymś handlowałem. Ciągłe łudziłem się, że kolejnego dnia wstanę, nauczę się kontrolować, wypiję jedno piwo, pójdę do roboty i będę żył normalnie. Tyle, że u mnie zaczynało się od piwa, a kończyło stanem głębokiego upojenia. Pieniądzy mi nie brakowało, bo bardzo szybko nauczyłem się żebrać. Tu dostałem dwa złote, tam dychę. Umiałem rozmawiać z ludźmi, więc wydębianie kasy nie było dla mnie żadnym problemem. Czasami miałem jej naprawdę dużo, ale nigdy nie opłaciłem sobie noclegu w hotelu. Takie życie chyba mi się wtedy podobało.

- Próbował pan je zmienić?

- Tylko w myślach. Zbyt łatwo było mi zdobyć pieniądze, choć potrafiłem też pracować. Jeśli mój organizm odmawiał już alkoholu, to żadnej pracy się nie bałem. Przy krowach, przy świniach, przy owcach, na budowie czy w warsztacie samochodowym - nie miałem najmniejszego problemu, żeby odnaleźć się w takich miejscach. Dawałem radę, chwalono mnie. To były jednak tylko momenty. Tak naprawdę pojechałem w ukochane góry i tam się zlumpiłem. Zamiast się wziąć do stałej pracy, byłem młodym nachlanym chłopakiem, biegającym po ulicach, który nie chciał nic zrobić, a łudził się, że zawojuje świat.

- Co to znaczy, że nauczył się pan żebrać?

- Poznałem bardzo łatwe życie. Pewien facet, który kupił mi kiedyś bilet na pociąg, gdy jechałem do schroniska, powiedział mi: *- Młody człowieku, jedź do domu, bo tu się nauczysz żebrać, kraść, łatwo żyć, a potem zginiesz.*

Wtedy tego nie rozumiałem, ale teraz wiem, że miał dużo racji. W całej tej bezdomności chodziło o to, żeby przeżyć. Wypić, zapewnić sobie picie, kupić papierosy i coś zjeść. To było łatwe życie. Wyskakiwałem rano ze śpiworka, polatałem trochę po mieście, miałem pieniądze, miałem alkohol. A pójść do pracy, przepracować miesiąc i mieć jedną trzecią z tego? Ciężko było się na to zdecydować. Nawet pomimo tego, że lubiłem pracować.

- Jak wyglądał typowy dzień z życia na ulicy?

- Jeśli były pieniądze to nieźle, bo mogłem coś sobie wypić. Jeśli ich brakowało, to tragicznie, bo strasznie ciężko było się podnieść. Proszę sobie wyobrazić najgorszego kaca w życiu. Wszystko boli, nogi się trzęsą, człowiek nie może się ruszyć. A przecież trzeba było wstać i zdobyć jakąś kasę, żeby móc pić dalej. Na kacu miałem straszne blokady, ciężko było mi do kogoś podejść. Na początku nie umiałem jeszcze żebrać na rękę. Byłem młody, miałem 23 lata. W najgorszych momentach szedłem pod kościół albo do księdza. W kościele czułem się bezpiecznie. Tam miałem większą śmiałość, wiedziałem, że nic mi się nie stanie. Panicznie bałem się za to melin. Czasem miałem jakiegoś kumpla, ale nigdy nie dołączyłem do meliny, w której koczowało 10-15 osób. Tam są zawsze panny lekkich obyczajów, konflikty i agresja. Widziałem, jak to wygląda. Dwie kobiety i dziesięciu facetów, zachowujących się jak psy, którym rzucasz kość pod nogi. Nigdy nie dawałem sobie w kaszę dmuchać, ale z dwoma czy trzema osobami bym sobie nie poradził. A noża pod żebro zarobić nie chciałem.

- Trafiał pan za to do noclegowni.

- Gdy byłem już zajechany i skrajnie wyczerpany, pojechałem do Krakowa do schroniska dla bezdomnych mężczyzn. Tam dość długo nie piłem. Odnalazłem się, choć przyjechałem mocno zarżnięty. Zostałem pomocnikiem kucharza, a potem dziekanem tego domu. Decydowałem o tym kogo przyjąć, jak pomóc, komu pomóc. Na mnie spadło też wyrzucanie tych wszystkich, którzy pili. Nie czułem się z tym dobrze, byłem bardzo nerwowy. Wróciłem trochę do punktu wyjścia. Czułem się tak, jak wtedy, gdy zaczynałem pić. Nie umiałem wyrazić swoich uczuć. Dziś powiedziałbym krótko: - *Gościu, napiłeś się, więc musisz opuścić ośrodek.*

Wtedy przychodziło mi to z wielkim trudem.

- Ale jednak się pan tam odnalazł.

- Miałem duże wsparcie zarządu. Czułem zaufanie, którego wtedy potrzebowałem. Starałem się jak najlepiej wywiązywać z obowiązków. Z drugiej strony po raz pierwszy zobaczyłem, że na bezdomnych zarabiają ludzie, którzy nie powinni z tego tytułu otrzymać nawet złotówki. To również tam dowiedziałem się wielu złych rzeczy. Na przykład tego, że ubrania dzieli się na trzy kategorie. Te fajne idą do butik, te gorsze do lumpeksu, a śmieci trafiają do bezdomnych. Przychodziły pieniądze na pomoc, a tylko jakiś ochłap faktycznie trafiał na ten cel.

- Jak pan się czuł z tym wszystkim?

- Dziwnie, bo to kompletnie kłóciło się z moim chrześcijańskim myśleniem. Dla mnie pomoc powinna być bezinteresowna. Nigdy nie mogłem się pogodzić z niesprawiedliwością. Jeśli ktoś dawał stówę na bezdomnych, to chciałem, żeby ta stówka na pomoc bezdomnym trafiła. Sam robiłem, co mogłem dla tych, którzy byli w gorszej sytuacji. Przez pewien czas byłem nawet wychowawcą u księdza Piotra Siei w Myślenicach. Po powodzi w 1997 roku opiekowałem się dziećmi, miałem z nimi świetny kontakt. Pracowałem też u rolnika na wsi, ale znowu zacząłem pić. Ponownie przyjęli mnie do schroniska. Znowu proponowali, żebym został dziekanem, ale nie chciałem i ostatecznie stamtąd uciekłem. Potem mieszkalem u Albertynów, a tam brat Jacek nigdy nie pozwalał mi się nudzić. Pracowałem w łaźni dla bezdomnych mężczyzn i w różnych innych miejscach. Dzisiaj myślę, że swoje życie w dużej mierze zawdzięczam właśnie Albertynom. Przy nich spędziłem najwięcej czasu. Zawsze dawali mi pracę, zawsze mnie przyjmowali, nigdy nie pozwalali mi leżeć na łóżku i nic nie robić. Widzieli mój potencjał.

- Wiele razy próbował pan wyjść na prostą.

- Zawsze wiedziałem, że siedzą we mnie dwie osoby. Trzeźwy czułem, że jestem facetem, który może zrobić prawie wszystko. Do dziś, jeśli pracodawca mnie dobrze traktuje, jestem bardzo lojalny. Kiedy piłem, nie miałem żadnych wartości. Liczył się tylko alkohol.

- Dawanie pieniędzy bezdomnym to dobry pomysł?

- Nie lubię takiego gadania w stylu „nie dam mu, bo na pewno przepije”. Jeśli idę ulicą i ktoś prosi o kilka złotych, to nie zastanawiam się, czy on to weźmie na flaszkę, czy wyda na papierosy. A może właśnie kupi jedzenie, czy zapłaci za bilet? Byłem bezdomnym i wiem, że wyżebrane pieniądze nie zawsze trafiały na alkohol. Kiedyś miałem zapalenie płuc, nie mogłem pójść do lekarza, więc kupowałem leki. Szedłem na dworzec, zawijałem się w koc i się leczyłem. Czasami potrzebowałem zjeść ciepły obiad, innym razem kupiłem ubranie na zimę.

- Niektórzy twierdzą, że taka pomoc nie jest mądra.

- Czasami zdecydowanie mądrzejsza, niż płacenie fundacjom. Jestem świadom tego, że w wielu takich miejscach ludzie pasą się ogromnie. Na krzywdzie da się zarobić i niektórzy niestety to wykorzystują. Myślę, że jednego przepisu na pomaganie nie ma. Przede wszystkim nie wolno się jednak bać i zamykać. Co z tego, że ktoś mi otworzył klatkę schodową, w której mogłem się wyspać, skoro się tam napierdzieliłem i zrobiłem syf. Inny alkoholik zaprosiłby jeszcze kumpli, darliby mordę i nie dawali spokoju mieszkańcom. Mówię o tym, żeby się nie zamykać, ale z drugiej strony wiem, że rozmowa też nie zawsze zdaje egzamin. Pod koniec swojego picia byłem tak zamknięty w sobie, że mi się nie chciało z nikim rozmawiać. Pogodziłem się z tym, że niebawem umrę, a co za tym idzie, uwolnię siebie i świat. Śmierdziałem i wściekałem się, bo nie mogłem nic w śmietniku znaleźć czy dwóch złotych wyżebrać. W mojej głowie była tylko jedna potrzeba - napić się. A oprócz tego masa goryczy.

- Czy kupno bezdomnemu jedzenia nie byłoby więc lepszym pomysłem?

- Sam chętnie brałem jedzenie, ale paradoksalnie czasami miałem go aż za dużo. Nie można więc mówić, że ludzie nie dają. Dają! Nie tylko jedzenie, ale i pieniądze. Zdarzało mi się wyciągać po kilkaset złotych jednorazowo.

- Ile najwięcej?

- Pod Opolem dostałem od gościa 600 zł. Byłem wtedy po oparzeniu i prosiłem o pieniądze na opatrunki. Ale to nie była największa pomoc, jaką otrzymałem. W Zakopanem poznałem dwie panie, które na co dzień mieszkały w Ameryce. Załatwiły mi pracę, była też taka możliwość, że dostanę wizę i pojadę z nimi do Kanady, żeby tam pracować. Dawały mi ubrania i dolary. Miały tylko jeden warunek - kończę z piciem.

- Gdzie pan je poznał?

- Na Krupówkach. Byłem troszkę wcięty i zapytałem, czy mogą mnie poratować drobnymi na piwo. One zaprosiły mnie na obiad, postawiły piwo i zaproponowały, że mógłbym im potowarzyszyć. Poznaliśmy się lepiej, pokazywały mi zdjęcia swoich dzieci, opowiadały o Ameryce. Tak naprawdę miałem masę pięknych sytuacji, które mogłem wykorzystać. Wszystkie spieprzyłem.

- Jak wyszło wtedy z tym piciem?

- Nawet pół miesiąca nie wytrzymałem. Przed ewentualnym wyjazdem miałem pracować u górala, mogłem mieć dach nad głową. Nie zdążyłem. Byłem wtedy w ciągu. Może gdybym był już w momencie, w którym mój organizm mówiłby dość, to kto wie, czy bym nie przetrwał. Prób przerwania tej farsy miałem naprawdę wiele. Oprócz kaca fizycznego, cały czas miałem kaca moralnego. Ciagle jechałem na poczuciu winy i wstydu. Czułem się gorszy. Sam się zabijałem i - niestety - godziłem się na to. Dopiero po latach na mitingach anonimowych alkoholików nauczyłem się mówić i uwierzyłem, że moje słowa mogą coś znaczyć.

- Czego dziś żałuje pan najbardziej?

- Zmarnowanego czasu. Wtedy te dni beztrąsko mijały, teraz dnia mi brakuje. Ciągi alkoholowe przecież się kończyły. Miałem całe miesiące bez picia. Problem w tym, że nie robiłem ze sobą nic oprócz tego, że nie piłem. Jak w danym miesiącu nie cierpiałem na alkoholizm, to cierpiałem na pracoholizm. Frustracja narastała. Co z tego, że zarobiłem, jak w ogóle się nie rozwijałem. Wchodziłem do sklepu i nie wiedziałem, co kupować. Nigdy nie miałem niczego swojego. Nie znałem zasad życia. Dziś wiem, jak to wszystko się odbywa, ale wtedy nie miałem pojęcia.

- Nie chciał pan wrócić do domu?

- Na stałe nie, ponieważ mama już nie żyła, a z ojczymem zawsze darłem koty.

- Jak pan się dowiedział o jej śmierci?

- Rok po tym jak zmarła, przez telefon od siostry. Rodzina nigdy mnie nie szukała, wtedy też nie. Miałem swego czasu duży żal o tę sytuację. Wystarczyło zgłosić na policję, że mama jest chora. Byłem kontrolowany setki razy, więc w końcu ktoś by mi przekazał.

- Zdążył pan ją jeszcze zobaczyć?

- Tak, ponieważ co kilka lat przyjeżdżałem na dzień czy dwa się pokazać. Potem jechałem dalej. Tam, gdzie łatwiej zdobyć pieniądze.

- Ale okazji, by się pożegnać, pan nie miał.

- Niełatwo było usłyszeć, że mama nie żyje od roku. Dziś patrzę na to z innej strony i wierzę, że śmierć jest wyzwoleniem, a z mamą tak naprawdę mogę porozmawiać w każdej chwili.

- Do kogo miał pan wtedy większe pretensje? Do siebie, bo pana nie było, czy do rodziny, bo nie próbowała pana powiadomić?

- Na początku zdecydowanie do rodziny, zwłaszcza że od czasu do czasu od różnych osób słyszałem pretensje, że nie byłem na pogrzebie. Wkurzałem się, gdy mówili mi takie rzeczy. Czułem, że łatwo było im rzucać oskarżenia, a wiedziałem, że sami nic nie zrobili, żeby mnie odnaleźć. Dzisiaj już jednak nie mam pretensji do nikogo.

- Wiara pomagała panu w najtrudniejszych chwilach?

- Bóg był przy mnie, kiedy piłem czy spałem zajechany pod płotem. To ja byłem z dala od niego i się od niego odsuwałem. Wielokrotnie robiłem coś wbrew niemu. Nie szanowałem samego siebie. Wiara jest dla mnie bardzo ważna, zawsze mam przy sobie różaniec. Namawiano mnie kiedyś, żebym został Albertynem. Wiedziałem jednak, że nie dam rady. Ciągle miałem w głowie, że nawet jeśli dziś nie piję, to jutro znowu mogę zacząć. Obsesja picia mnie przerastała.

- Do tego stopnia, że trafił pan do zakładu psychiatrycznego?

- I to nic nie dało. Potrafiłem spirytus w butach przenieść, by nachlać się z kumplami. W 2000 roku dostałem pierwszego delirium. Wylądowałem w pasach, bo gdzieś podobno na ulicy rozmawiałem z Bogiem. Przenieśli mnie do zakładu psychiatrycznego i tam mnie leczono. Stwierdzono halucynozę, majaki i stany maniakalno-lękowe. Byłem zagrożeniem dla samego siebie. Brałem leki, do tego chlałem i najbardziej czarne życie robiło się różowe. Skończyło się tak, że jeszcze przyznano mi rentę. Brałem rentę jako alkoholik, naprawdę! Zabroniono mi wielu rzeczy. Miałem dodatkową ripostę dla ludzi, którzy mówili „weź się chłopie do roboty”. Przecież nie mogę, skoro jestem na rencie.

- Jak ludzie postrzegają bezdomnych?

- Spotykałem się z bardzo różnymi przypadkami. Bywało, że jedni chcieli mnie pobić, ale w tym samym czasie inni mnie bronili. Czasem klęczałem pod kościołem, ludzie mnie mijali bez słowa, a potem doganiali, gdy już odszedłem, i dawali pieniądze. Uważali, że bycie dobrym to wychodzenie na frajera, więc woleli się z tym nie afiszować. Tak się tłumaczyli. Trafiałem też na starsze panie, które odmawiając różaniec potrafiły mnie od psów zwyzywać. Świadomość zwiększała się zimą.

- Niejedną zimą przespał pan na ulicy.

- Trzeba było dużo się ruszać, ogrzewać śpiworem i jakoś można było wytrzymać. Spałem w śniegu, pod brzoźkami, ale nigdy nie zamarłem. Może Bóg nade mną czuwał. W wielu takich skrajnie fatalnych sytuacjach zastanawiałem się, po co jeszcze żyję? Co takiego ma dla mnie Bóg, że mogę jeszcze żyć? Sam tego sensu nie widziałem.

- Myślał pan o samobójstwie?

- Byłem za słaby i nie chciałem zgrzeszyć w ten sposób. Ale oczywiście miałem próby samobójcze. Próbowałem przedawkować tabletki. Na moje szczęście byłem pijany, głupi i nieudolnie się do tego zabierałem. Dziś myślę, że to mogła być manifestacja. Taki cichy krzyk. Gdybym naprawdę pragnął śmierci, poszedłbym do lasu, wziąłbym linę i po kłopotcie. Moje próby nie przez przypadek odbywały się między ludźmi. Wtedy jednak tak na to nie patrzyłem. Byłem przerażony, inni krzywo na mnie patrzyli. Nagle zacząłem się bać otoczenia. Myślałem, że ktoś chce mi zrobić krzywdę. Zmieniałem więc miejsca, uciekałem. Szukałem samotności.

- Które momenty były najgorsze?

- Mimo wszystko zawsze zima, choć już jesienią było źle. Spadała temperatura, padały deszcze, pojawiały się stany lękowe. Nie dość, że budziłem się na kacu w obcym miejscu, to jeszcze zmarznięty. Nie wiedziałem gdzie iść, co zrobić. Szedłem więc przed siebie. Zdarzało mi się z pójść z Krakowa do Zakopanego, a potem z powrotem. Ciągłe uciekałem.

- Szczególnie bolesne mogły być święta. Zwłaszcza, że jest pan osobą głęboko wierzącą.

- Wtedy serducho ścisnęło najbardziej. Po latach sobie uzmysłowiłem, że w trakcie świąt albo nie piłem wcale, albo piłem niewiele. Zawsze pojawiałem się w kościele, chociażby na pastercie. Stałem tam i płakałem. Widziałem szczęśliwe rodziny, ale nie miałem tego co oni. Na własne życzenie. Marzyłem o szczęściu, ale byłem za słaby. Alkohol był ode mnie silniejszy. Dzisiaj mogę być mądry i powtarzać frazesy o obsesji picia. Wtedy w ogóle tego nie odczuwałem. Dopiero teraz mam okazję skonfrontować trzeźwe życie z przeszłością.

- Był pan choć raz zakochany?

- Miałem przelotne przygody w okresach, w których nie piłem. Bardzo wcześnie zrozumiałem jednak, że gdybym się z kimś związał, to bym tę osobę skrzywdził. Dziś czuję ulgę, bo wiem, że nie zraniłem kobiety i dzieci. Mam jednak marzenia o miłości, które po części realizuję. Robię wszystko to, co powinienem był zrobić prawie trzydzieści lat temu. Mam prawo jazdy, pokończyłem różne kursy. Każdy dzień w pracy jest dniem, w którym chcę się czegoś nauczyć. Czuję, że to, co wykonuję dzisiaj, jutro może mi się przydać w zupełnie innej sytuacji. Chciałbym więcej zarabiać, dlatego się uczę. Ruszyłem ze sporym falstartem, ale nie zamierzam przestać gonić.

- Kiedy sięgnął pan dna?

- Przyszedł moment, w którym zmęczenie sięgnęło zenitu i wróciłem do domu, do Oławy. Pogodziłem się z ojczymem, dorabiałem sobie na skupie, w nocy jeździłem po śmietnikach. Czasem spałem w domu, innym razem na ulicy. Jedną metę miałem koło miejskiego stadionu, inną między blokami. Pogodziłem się z myślą, że już nic nie osiągnę, a jedyne co mogę, to żyć i nie krzywdzić ludzi. Stałem się nagle bardzo nieprzyjemny. Nawet dla tych, którzy chcieli mi pomóc. Wszystko odbierałem jak atak. Kompletnie zniknęły plany na przyszłość. Nie miałem już myśli, że może być lepiej. Pogodziłem się z tym, że jestem i będę lumpem. Byłem coraz starszy, wyleciały mi zęby, brakowało mi sił, zdrowie się psuło.

- Ojczym przyjął?

- Był ciężko chory, nie radził sobie po odejściu mamy. Opiekowałem się nim do samego końca. Na kilka dni przed jego śmiercią poprosiłem go o wybaczenie wszystkich krzywd, które mu wyrządziłem. Wybaczył i też poprosił o wybaczenie tego, jak mnie traktował. Pogodziliśmy się i byliśmy razem do samego końca. Pewnego ranka zabrali go szpitala, pięć godzin później już nie żył. Na jego pogrzebie byłem nawalony jak messerschmitt, ale przynajmniej tam byłem. Pocałowałem jego zimne czoło i do dziś pamiętam ten posmak. Myślę, że na swój sposób go kochałem.

- Został pan sam.

- I zacząłem chlać. Co mogłem, to sprzedałem. Ludzie mnie okradali, kopali w moje drzwi. Nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Byłem słabiutki, nie prosiłem o żadną pomoc. W taki sposób się kończyłem. Nie utrzymywałem z nikim kontaktu. Aż przyszedł do mnie kolega i wraz z moją siostrą namówili mnie na odwyk. Zgodziłem się i pojechałem. Trafiłem na terapię we Wrocławiu. Coś we mnie pękło. Nie potrafiłem jednego zdania napisać, mimo że wcześniej przychodziło mi to bez trudu. Chciałem się zmienić, ale byłem przerażony, że będę musiał wrócić do dawnego życia i środowiska.

- Wrócić i tym razem nie upaść?

- Bezdumni często zastanawiają się jak zacząć żyć, gdy nie ma się domu. A ja ten dom już miałem. Bałem się ludzi, którzy mieszkali wokół. Gdy byłem wypity to pół biedy, ale jak tam wrócić trzeźwym gdy wszyscy obok piją? No, ale wróciłem, mieszkalem, łapałem się różnych prac, chodziłem na mitingi anonimowych alkoholików i w końcu zmieniłem środowisko. Każdy kolejny dzień stawał się małym zwycięstwem, zmianą. Przeżywałem katusze, cierpiełem, ale czułem, że to ostatnia szansa.

- Ostatnia i wykorzystana?

- Tak. W trakcie trwania mundialu w RPA w 2010 roku byłem już trzeźwy. Do dziś pamiętam, że miałem stary kolorowy telewizor i jedną kanapę. Siedziałem i oglądałem mecz za meczem. Po mistrzostwach wziąłem psa ze schroniska, co na tamten moment było dla mnie najbardziej odpowiedzialnym krokiem w życiu. Pomagał mi kolega. Wciąż chyba nie jest świadomy, jak wiele dla mnie robił, dając mi ogromne poczucie bezpieczeństwa. Wiedziałem, że w każdym momencie mogę się do niego zwrócić. Ludzie na mnie patrzyli, zastanawiali się, czy dam sobie radę. Z pijącymi się nie spotykałem, całkowicie odciąłem się od środowiska.

- Co było największym wyzwaniem?

- Porzucenie starego życia i rozpoczęcie nowego. Nie umiałem nigdy funkcjonować w taki sposób. Do dziś mam problem w niektórych dziedzinach. A wtedy? Musiałem zmienić się o 180 stopni. Zrobić obrót i pójść w drugą stronę. Pozbyć się znajomych, nie chodzić do miejsc, w których był alkohol i wreszcie zaakceptować to, że jestem alkoholikiem. Zacząć dbać o zdrowie, wrócić do społeczeństwa, być człowiekiem odpowiedzialnym i płacić rachunki. Takie prozaiczne czynności dorosłego człowieka były dla mnie - wtedy ponad czterdziestoletniego faceta - czymś zupełnie nowym. Gdyby nie AA, do dziś bym nie dał rady. Spotkanie z tymi ludźmi, konfrontacja z podobnymi problemami - to naprawdę wiele daje.

- Co pana najbardziej zaskoczyło w trzeźwym życiu?

- Tak naprawdę cały czas mnie coś zaskakuje. Zanim przez alkohol straciłem uprawnienia, wiele lat jeździłem samochodem. Nagle się okazało, że ponowne zdanie prawa jazdy to nie jest taka prosta rzecz. Pójście na randkę? To jakiś obłęd! Co ja mam niby tej kobiecie powiedzieć? Tańczyć? Kolana sztywne. Właściwie czułem się tak, jakbym od nowa musiał się nauczyć chodzić. We wszystkim brakowało mi praktyki. Miałem wiele motywacji, chciałem robić milowe kroki do przodu, aż w końcu zrozumiałem, że tylko drobnymi kroczkami można dojść do sukcesu.

- Trzeźwienie to długi proces. Na jakim etapie jest pan po ośmiu latach niepicia?

- Na początku nie piłem, ale miałem stare myślenie. Wszystkie informacje, jakie dostawałem, odrzucałem i robiłem po swojemu. Gdy chlałem, powtarzałem, że nie dam rady i nawet nie będę podchodził do tematu. Nagle byłem już trzeźwy, ale wciąż przekonany o swojej racji i nieomyślności. A tak się nie da. Mniej więcej rok temu przestałem negować i zacząłem w pełni szanować zdanie innych ludzi. Przez te lata nauczyłem się ich słuchać oraz mądrze korzystać z rad. Dziś mogę im dziękować. Mitingi AA bardzo dużo mi dały. Pomogła terapeutka, pomogły zwykłe osoby, pomógł ksiądz. Jeszcze kilka lat temu tego nie zauważałem. Stosunkowo niedawno zacząłem doceniać, że mam gdzie spać. Mam mieszkanie, mam psa, mam przyjaciół, do których dzwonię, z którymi się spotykam. Poznaje swoją wartość. W końcu wiem, że jestem wartościowym człowiekiem!

- Ma pan też stałą pracę.

- Po kilku przygodach w różnych miejscach poszedłem do budowlanki. Spłacam mały kredyt, nauczyłem się szanować wartość pieniądza. Nagle zacząłem myśleć o budżecie. Jeśli dzień bez pracy oznacza stówę w plecy, to ja tej stowy nie chcę stracić. Dojrzewam. W końcu mam taki prawdziwy cel. Nie mówię o nim, tylko do niego dążę. Gdy piłem, tego celu tak naprawdę nie było. To znaczy był, ale krótki: strzał, pieniądze, a co potem to się zobaczy...

- Dziś tym celem jest...

- ...życie. Lubię być trzeźwym. Nie robię tego dla kogoś, robię to dla siebie. Nie odpuszczam nawet na chwilę. Gdybym dziś powiedział „dobra, ja już tyle lat nie piję, nie są mi potrzebni alkoholicy, nie muszę chodzić na spotkania AA, mogę żyć jak każdy inny człowiek”, to skończyłbym szybko i marnie.

- Boi się pan, że to wszystko może jeszcze wrócić?

- Nie mam już takich myśli, bo widzę, że wiele rzeczy w życiu udało mi się dzięki trzeźwości. Jeszcze niedawno jakąś kosmiczną i nierealną wizją było zrobienie zębów. Dziś mam to za sobą. Jeżdżę laguną, wyjeżdżam za granicę, spełniam się zawodowo. Jestem mężczyzną, mogę poderwać fajną kobietę. Wydaje mi się, że po raz pierwszy w życiu robię coś normalnie. Wkurzam się tylko trochę, bo mało ostatnio czytam. (śmiej) Paradoksalnie na kacu czytałem o wiele więcej książek. Od Asnyka zaczynając na powieściach batalistycznych kończąc. Mówić i rozumieć słowa nauczyłem się dzięki literaturze.

- Wcześniej wspomniał pan, że po części realizuje pan teraz marzenia o miłości. Jest pan w związku?

- W tych sprawach jeszcze nie wszystko się ułożyło. Coś się dzieje, próbuję się związać z kobietą po podobnych przejściach, ale niczego nie chcę robić na siłę. Najważniejsze, że nie czuję się już odrzucony. Znow wiem, że mogę być atrakcyjny, że można ze mną żyć. Nie mam już problemu, żeby umówić się na randkę, pójść do kawiarni czy potańczyć.

- Kawał życia przeleciał panu przez palce.

- W czasach, kiedy powinienem się uczyć - piłem. Kiedy powinienem stać się odpowiedzialny - piłem. Gdy powinienem ułożyć sobie życie - piłem. Ostatecznie wytrzeźwiałem i byłem wrakiem. Wszystko muszę nadrabiać krok po kroku. Oczywiście czuję żal. Zwłaszcza wtedy, gdy patrzę na kumpli ze szkolnej ławy, którzy mają szczęśliwe rodziny i są zabezpieczeni finansowo. Boli mnie, bo sam tak nie mam, ale czuję motywację, bo wiem, że jeszcze wiele przede mną.

- Jest pan szczęśliwy?

- Zdecydowanie tak, choć wiem, że będzie jeszcze lepiej. Już się nie śpieszę. Skoro udało mi się kilka rzeczy, które wcześniej wydawały się nierealne, to jeśli zrobię wszystko, co w mojej mocy, będę mógł realizować kolejne cele.

- O czym pan teraz marzy najbardziej?

- O własnym domu. Niewykluczone, że za jakiś czas wyjadę za granicę, by na ten cel zarobić. Marzy mi się mały dom do remontu, taki o wartości w granicach 100 tysięcy złotych. Jeśli popracowałbym kilka lat za granicą, to mógłbym te pieniądze odłożyć. Byłbym też oczywiście bardzo szczęśliwy, posiadając własnościowe mieszkanie. Socjal przysparza wielu problemów. Cieszę się z tego, co mam, ale chciałbym pójść na swoje.

- Mógłby pan dziś powiedzieć, że z każdej, nawet najgorszej sytuacji da się wyjść na prostą?

- Jeśli się chce, a jeszcze do tego uwierzy, to naprawdę można wszystko. Wiara to jest potęga, tylko trzeba wiedzieć, jak z niej skorzystać. Nie piję już osiem lat, ale wiem, że od tego, który dziś leży pijany pod płotem, dzieli mnie tylko jeden kieliszek.